Ze wspomnień lubelskiej aktorki

Irena Ładosiówna, aktorka scen lubelskich, która zaangażowała się do Teatru J. Słowackiego tuż przed wybuchem II wojny światowej, nazywała aktorów w swoim pamiętniku (który jest „jak pastelowy obrazek, wyjęty ze stylowej ramki")... „teatralną biedotą". Jej pamiętnik, czy raczej zbiór autentycznych faktów oparty na wspomnieniach rodziców i starszych kolegów jawi się – że przytoczę słowa autorki – „trochę jak bajka, trochę jak satyra anegdotyczna". Ale nade wszystko jest... pulsowaniem życia, oddaje „rytm tamtych serc".

Z bogatego materiału, wybraliśmy fragmenty najbardziej charakterystyczne, oddające sytuację w życiu teatralnym dawnego Lublina. A więc...

Inauguracja sezonu

„...Właściwa praca ześrodkowała się na solidnym przygotowaniu oficjalnej premiery. Od rana do nocy, a nawet nocami robiono próby czteroaktowej farsy Jadwigi Wiśniewskiej pt. „Klub cyklistek" (...) Sprowadzono z Częstochowy jednego z najlepszych malarzy – dekoratorów, Kacpra Wieczorkowskiego, który sam z pomocą tylko jednego młodego czeladnika malarskiego, pracował nad czterema zmianami dekoracji. (...) Miał to być Salon Warszawski, cyklodron, polanka w Wilanowie z widokiem na pałac i „wolna okolica", czyli zaciszny kącik w sosnowym lasku.

Największą trudnością dla aktorów, a raczej aktorek, był ów cyklodron, po którym miało się jeździć na welocypedach. Scena bowiem budowana była w tych czasach amfiteatralnie, czyli że tył scenicznej podłogi był wzniesiony o wiele wyżej od przedniej rampy – więc jeździć po takiej scenie na rowerze, nie było takie łatwe. (...)

Kostiumy damskie szyły sobie aktorki same, przy pomocy miernej krawcowej – Żydówki tzw. partaczki. Z męskimi było trudniej, bo teatr zatrudniał tylko jednego męskiego krawca. Na próbie generalnej drobny incydent zakłócił twórczą atmosferę. Kiedy w trzecim akcie, na wycieczce „kołowej", miał padać deszcz, wpadł zrozpaczony rekwizytor z krzykiem: „Panie dyrektorze, nie ma deszczu! Kupiłem cztery funty i wszystko zjadły szczury! Irytacja dyrektora i śmiech aktorów przerwały próbę. Okazało się, że istotnie szczury... zjadły deszcz. Efekt deszczu uzyskiwało się bowiem przesypując fasolę na sicie"...

Czy pani ma kostiumy?

Aktora angażowało się do teatru w tym przedwojennym czasie z własnymi kostiumami. Stąd jedno z podstawowych pytań przy podpisywaniu kontraktu brzmiało: czy pani ma kostiumy?

„Jeżeli miała ze dwie suknie balowe – strój krakowski, parę ludowych spódniczek i kontusik, mówiło się, że „to aktorka z garderobą". Ba, jeżeli do tego dochodził kostium francuski – obojętne z jakiego okresu – „negliż", aksamitna suknia z trenem i ze dwie, trzy peruki – mogła już imponować dyrekcji i koleżankom. Szczytem zawiści tych ostatnich było posiadanie białej peruki „rococo", trykotów, „baletnicy" i „szansonetki". Szansonetką nazywała się suknia mocno dekoltowana, obcisła do pół uda, cała naszywana „pajetami", tworząca jak gdyby pancerz z rybiej łuski, mieniącej się kolorowo. (...) Mężczyźnie wystarczało posiadanie fraka, tużurka i kilku peruk"...

Pan policmajster na widowni

Policmajster był ważną osobą – szefem policji i cenzorem.

„Zawsze elegancki, przeważnie dobrze po pięćdziesiątce, lubił teatr i świat aktorski. Na przedstawienia uczęszczał regularnie, ostentacyjnie reagując tak na sytuacje komiczne, jak i na dramatyczne nastroje. (...) Pewnego dnia zjawił się na przedstawieniu sztuki Zapolskiej „Ich czworo". Był dobrze pod gazem, a gorąca atmosfera nagrzanej mocno sali, zaczęła go rozbierać. W pewnym momencie aktorka grająca rolę szwaczki Mańki, musiała przejść pierwszym planem przez całą scenę (...). I nagle, wśród sytuacyjnie zaplanowanej ciszy, rozległo się głośne westchnienie na półsenne, na półmarzące: „Hospody! Hospody! Kakaż u niej balszaja ż.a!" Salę ogarnął tłumiący śmiech, ktoś syknął: cicho! spokój! Pan policmajster z trudem dźwignął swoją przyciężką posturę, zwrócił się szarmancko w stronę publiczności: „Izwienitie – pardons". I opadł sennie na swoje miejsce. Powróciła cisza. Ale po chwili Mańka znowu przeszła przez

Zrozumieć rytm tamtych lat...

scenę i znowu rozległo się jeszcze głębsze westchnienie: „Hospody! Hospody! Kakaż u niej balszaja...". Znowu konsternacja, hałasy i śmiechy (...) Dyżurny stójkowy, nie chcąc dopuścić do dalszej kompromitacji władzy, odważył się podejść do pana policmajstra: „Wasze błagodarje... pożałsta. – Czewo? – ryknął policmajster. „Izwienitie, gospodin, wy pijan. Nada damoj... ja was proszu" – jęknął przerażony stójkowy, odważnie unosząc chwiejącą się postać i wlokąc ją w stronę wyjścia. Pan policmajster nie rozgniewał się. Przeciwnie, był rzewny i roztkliwiony, czule oparł się o potężne ramię stójkowego (...). W drzwiach wyjściowych zatrzymał się i obrócił ku widowni: „Izwienitie, nie winowat, ja pijan!" Po czym zwrócił się już wprost do sceny, krzycząc prawie z płaczem: „Barynia! Aktrisa! Izwienitie, pijan. Barynia, twoja (...) nie balszaja. Niet! Krasiwaja, oczeń krasiwaja!"...

Benefis

Oprócz pensji, tzw. gaży, każdy przedwojenny aktor „na stanowisku", mógł sobie zastrzec w kontrakcie prawo do benefisu, czyli przedstawienia, z którego dochód (po opłaceniu kosztów) w całości trafiał do jego kieszeni. Naturalnie, po takim spektaklu, dostawał dużo kwiatów na scenę – od przyjaciół, znajomych i dyrekcji teatru. Te ostatnie były zawsze z szarfami i złotym napisem.

Benefis wymagał jednak ogromnych starań i zabiegów aktora, aby pozyskać wypełnioną widzami salę teatralną. Musiał więc niejednokrotnie „nabijać się we frak" i z książką biletową składać wizyty we wszystkich znaczniejszych domach. Często wynajmował dorożkę lub jakąkolwiek bryczkę i wyruszał do różnych potentatów podmiejskich.

„Wandzia i Władzio kochali się bardzo – wspomina Irena Ładosiówna. – *Ona była pierwszą „naiwną", on „lekkim amantem". Kiedy dostali zgodę na benefis, przystąpili do przygotowań. Koledzy zajęli się wyelegantowaniem Władzia, koleżanki pożyczyły Wandzi ładną sukienkę i płaszczyk (...). Całymi godzinami chodzili od domu do domu, gdzie tylko widać było lepsze firanki w oknach, namawiając na kupno biletów, wreszcie wyruszyli bryczką na podbój okolicy (...).*

Pierwszym etapem był tartak. Przyjęto ich serdecznie – herbatą, jajecznicą i razowym chlebem. Kupiono dziesięć biletów, dano 5 rubli naddatku i wyprawiono dalej (...) Trafili do „obywatelskiego" domu. Gospodarze łaskawi, ale nieco z rezerwą – oświadczyli, że to dom skromny, oddany pracy i że im nie w głowie teatralne hece. (...) Przemierzyli 15 wiorst i zajechali przed wspaniały pałac hrabiego X. (...) Nie wiem czy będę na przedstawieniu – powiedział – bo w teatrze bywam tylko za granicą lub czasem, rzadziej, w Warszawie, ale chętnie popieram brać artystyczną. Poproszę o najlepszą lożę dla mnie i dla rodziny oraz 10 miejsc w dalszych rzędach, dla moich oficjalistów (...) Skłonił się w szlachetnym geście, podał dwa palce do uściśnięcia obojgu i zniknął za pluszową portierą. Patrzyli na siebie oniemiali w zachwycie i przerażeniu. Po chwili zjawił się lokaj, podając na tacy kopertę z pieniędzmi i dwa kieliszki koniaku. W kopercie było 25 rubli, a więc należność prawie podwójna. (...) Znowu wgramolili się na bryczkę. Tym razem zajechali do dóbr jednego z członków Zarządu Spółki Cywilnej „Teatru". Niestety, nie było pana domu, a pani podejrzliwie obejrzała Wandzię z góry na dół. W jej wzroku czuło się niechęć i jakby obawę dotknięcia kobiety o tak wątpliwej wartości zawodzie. Prawdopodobnie odprawiłaby ich z kwitkiem, wymawiając się nieobecnością męża. Dopiero wybąkana przez Władzia wiadomość, że hrabia X wziął lożę i aż 10 biletów dla oficjalistów, zbulwersowała damę. Nie mogła być gorsza. (...). Wzięła także lożę i 12 miejsc w ostatnim rzędzie dla rezydentów i służby. Wypłaciła ściśle według rachunku. Nie przyjęła niczym, natomiast na wózek została wrzucona żywa kura"...

A benefis? „Na benefisie było mnóstwo kwiatów i pięknych prezentów. Jeden wzbudził szczególne zainteresowanie. Obraz pędzla kolegi – dekoratora Kacpra Wieczorkowskiego, swoją formą wyprzedzający o rok czy dwa narodzenie futuryzmu".

Zamiast zakończenia

Ostatni rozdział swoich wspomnień Irena Ładosiówna zatytułowała: „Śmierć nie omija teatru".

Pisząc o chorobie jednego z aktorów, kończy jego marzeniami na łonie śmierci: *„Koledzy kiedyś muszą wywalczyć prawa dla siebie i teatru. Cóż on, był stopniem, po którym teatr pójdzie naprzód. Bo takie jest prawo życia. Musi być lepiej...*

Aktorzy będą mieli lepsze gaże, piękne, stałe teatry. Będą szkoły teatralne – coraz więcej wielkich aktorów. Tylko, czy będą kochać teatr, jak my, bezimienni, my nędzarze"...

Opracował:
JANUSZ ŚWIĄDER